Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Dopiero teraz mogłem docenić solidność drewnianej drabiny, po jakiej dzień w dzień wchodziłem obciążony cegłami na Mur. Sznurowa drabina chwiała się na wszystkie strony, a ja z nią. Trzymając się oburącz, jedną nogę podnosiłem wyżej, wymacywałem palcami szczebel, przesuwałem stopę, aż mogłem się na niej wesprzeć, dopiero wtedy puszczałem się jedną ręką, przesuwałem ją po sznurze w górę, powtarzałem manewr drugą ręką, następnie dostawiałem stopę. Nie patrzyłem w dół. Pot spływał mi po twarzy. Gdy robiłem przerwę na przetarcie oczu, wirniki, ostrza, szatkownice, przekładnie, koła i bolce odsłaniały się tuż przed moim wzrokiem niczym wnętrze metalowego owocu gigantycznych kształtów.

Dotarłem do celu zesztywniały z bólu i napięcia. Wdrapałem się na platformę i przykucnąwszy dla uregulowania oddechu, szybko policzyłem obecnych. Byłem dziesiąty. Zaraz po mnie, gramoląc się niemal równocześnie z przeciwnych stron platformy, dołączyło dwoje ostatnich wybrańców i naraz zrobiło się tak cicho, że kiedy przemierzałem metry dzielące mnie od zbitej pośrodku gromadki, słyszałem własny świszczący oddech, słyszałem plaśnięcia mych bosych stóp o metalową powierzchnię i słyszałem głos Sędziego, miarowy i spokojny, nieustępliwy jak echo towarzyszące ostatnim krokom skazańca.

Zwycięzca może być tylko jeden, przypomniał. Jeden to liczba idealna.

Potem zaczął nas wywoływać.

Platforma miała około dziesięciu metrów średnicy. Ścieśnieni pośrodku, po kolei wychodziliśmy przed szereg, ku aplauzowi widzów stając tuż nad krawędzią konstrukcji, by dowieść, jak mało cenimy sobie własne życie i że nie przypadkiem zostaliśmy wybrani, a Sędzia tymczasem przywoływał przykład dwunastu synów Samuela Millsa, przywoływał poświęcenie dwunastu bohaterów z trzydziestego Lipca, przywoływał dwanaście kul wystrzelonych do Jakuba Martensa, z których trzy okazały się śmiertelne, przywoływał dzieło dwunastu pierwszych budowniczych Muru, na koniec wreszcie przywołując ofiarę Dwunastu, którzy jeden raz w roku przelewają krew po to, by Samuel Mills, dwunastu bohaterów, dwanaście zdradzieckich kul i dwunastu budowniczych nie popadło nigdy w zapomnienie.

W świetle południowego słońca, którego mizerne promienie załamywały się w stalowych elementach Machiny, staliśmy bladzi i nadzy, prężąc wątłe mięśnie. Wypatrzyłem wśród nas trzy kobiety. Poznałem je po szerokich biodrach, wydatnych gruczołach piersiowych i płaskim przyrodzeniu. Dwie krępej postury, już niemłode, z twarzy podobne do mężczyzn. Trzecia, prawie dziewczyna, przewyższała je wzrostem. Dawno już zdążyła się wycofać znad krawędzi platformy i, mijając mnie, powróciła w bezpieczną bliskość iglicy, a ja wciąż czułem zapach jej ciała. Nadal miałem przed oczami gładką, pozbawioną odbarwień skórę. Widziałem zaokrąglone biodra, sprężyste pośladki, długie, mocne uda, lekko wypukły brzuch, zaróżowiony wzgórek przyrodzenia, w porównaniu z męskim niemal ukrytego przed wzrokiem. Widziałem piersi tak drobne, że każdą mógłbym nakryć dłonią. Widziałem smukłą szyję, kształtną głowę i uszy przylegające do gładkiej czaszki. Widziałem pełne usta, ciemne oczy, wysokie, wyraziste czoło. Dostrzegałem te i inne szczegóły, które wcześniej uchodziły mojej uwadze – a w każdym bądź razie dawniej nie wywoływały we mnie podobnych emocji.

Tyle zdążyłem pomyśleć, gdy nagle zazgrzytało i Machina nabrała życia.

Wyczułem drganie pod stopami. Przybierało na sile. Wraz z nim zgrzyt, podobny do tarcia metalu o metal. Dołączył mechaniczny, urywany stukot. Hałas narastał, można już było rozpoznać rytm i sens mechanizmu, powtarzający się terkot przerywany świstem, jeden-dwa, jeden-dwa, gdy ostrza, niewidzialne z miejsca, gdzie staliśmy, wprawiane w ruch za pomocą wałów, kół zębatych i przekładni, nie napotykając na opór, wytrwale przecinały powietrze.

Kobieta zniknęła mi z pola widzenia w plątaninie ciał. Próbowałem ją odszukać, kiedy pchnięty w plecy straciłem równowagę i runąłem do przodu. W ostatniej chwili zasłoniłem twarz przedramieniem lewej ręki. Zwaliłem się niefortunnie na łokieć, aż z bólu pociemniało mi w oczach. Macając wokół siebie, palcami zdrowej ręki natrafiłem na krawędź platformy. Właśnie próbowałem się przeturlać w przeciwną stronę, kiedy ktoś potknął się o mnie, że poczułem ból w żebrach. Usłyszałem zduszone przekleństwo. Głos należał do mężczyzny. Skuliłem się, jednak atak nie nastąpił. Usłyszałem odgłos spadania i towarzyszący temu krótki, urwany krzyk. Wyostrzonymi zmysłami zarejestrowałem zmianę pracy stalowej maszynerii, jakby napotkała przeszkodę i starała się jej pozbyć. Trwało to może trzy sekundy i zaraz potem wszystko utonęło w ryku tłumu.

Dźwignąłem się na kolana. Ryk na trybunach nie ustawał. Wielki ekran na wprost mnie pokazywał widzów w pierwszych rzędach jednego sektora widowni: twarze i białe ubrania mieli w czerwonych cętkach; wydawali się podobni do dawno wymarłego gatunku drapieżnych zwierząt, którego nazwy nie mogłem sobie przypomnieć.

Harmider na widowni zagłuszał odgłosy towarzyszące pracy wprawionego w ruch mechanizmu. Mimo to wciąż je słyszałem. W uszach dudniły mi jęki zębatych kół i przekładni. Przed oczami miałem ostrza rytmicznie tnące powietrze.

Wiedziałem, że najmądrzej będzie trzymać się najbliżej iglicy, ale pozostali wybrańcy kierowali się podobnym rozumowaniem. W kłębowisku nagich ciał nie sposób było poznać, kto z kim walczy, tak jakby ścieśnieni pośrodku rozdawali ciosy na lewo i prawo w przeświadczeniu, że kto nie da się odepchnąć, ten zwycięży. Ułożony na brzuchu na górnej kwadratowej platformie, obracając się to tu, to tam jak rozregulowana wskazówka zegara, Sędzia laską z metalu dźgał upatrzone ofiary, próbując zmusić do porzucenia bezpiecznego miejsca i wyjścia na otwartą przestrzeń.

Niektórzy próbowali laskę pochwycić i go ściągnąć. Sędzia kwitował to śmiechem. W pełni panując nad sytuacją, systematycznie obijał głowy i karki. Odskakiwali na kilka kroków, ale cisnęli się z powrotem pod iglicę, masując obolałe miejsca i wystawiając się na kolejne uderzenia laską.

Tchórze!, rozległo się z widowni. Z różnych stron w stronę platformy poleciały kamienie. Większość nie dochodziła celu i odbijała się z łoskotem od elementów nośnych Machiny albo wpadała do środka maszynerii, wywołując protest stalowych ostrzy i siekaczy kratownicy.

Przesunąłem się bliżej środka, licząc, że tu kamień mnie nie dosięgnie. W tej samej chwili przy iglicy się zakotłowało i od kłębowiska ciał oderwało się dwóch mężczyzn. Pierwszy próbował uciekać, ale ten, który gonił, bez wysiłku nieszczęśnika dopadł, jedną ręką pochwycił od tyłu za szyję i pchał przed sobą z łatwością, jakby trzymał nie człowieka, tylko worek wypełniony powietrzem. Był niewiele ponad średniego wzrostu, za to atletycznej budowy ciała – muskularny tors, krótkie, mocne nogi i nieproporcjonalnie długie ręce. Przypominał oglądanych na obrazkach niewolników ze sportowych aren, których jeszcze pod koniec Wieków Ciemnych hodowano do występów na boiskach futbolowych. Dużą, płaską twarz miał w bliznach. Najbardziej zwracał uwagę przekrzywiony, niemal wciśnięty do środka nos, sprawiający wrażenie, jakby go w ogóle nie było.

Trzymany w żelaznym uścisku, spychany ku krawędzi platformy, mężczyzna desperacko trzepotał rękami, bez powodzenia starając się trafić przeciwnika. Raptem całym ciężarem ciała opadł na kolana. Spodziewał się chyba, że w ten sposób Beznosego przewróci. Ten tylko się zaparł, poderwał go szarpnięciem w górę i dalej pchał przed siebie, nie zwalniając uchwytu.

Gwizdy na trybunach ucichły. Znów było słychać znajomy rytmiczny stukot i szczęk. Pod stopami czułem drgania pracującej na pełnych obrotach maszynerii. Na widowni zerwał się jazgot. Przybrał na sile, kiedy za Beznosym, ciężko stąpając na krótkich nogach, zaczęły się skradać dwie postacie. Podchodziły go z dwóch stron; obwisłe piersi, ze świeżymi śladami zadrapań, dyndały im przy każdym kroku.

Jeśli Beznosy jakimś zmysłem wyczuł ich obecność, to nie dał tego po sobie poznać. Tak jak zamierzał, najpierw silnym pchnięciem zrzucił mężczyznę z platformy. Zaraz potem, jakby ćwiczył ten manewr od miesięcy, błyskawicznie się cofnął i schylił, unikając jednoczesnego ataku kobiet. Miał je teraz obie przed sobą. Wyciągnął swoje długie ręce, zacisnął je na szyjach kobiet, przyciągnął obie równocześnie z taką siłą, że stuknęły o siebie głowami i na krótko straciły przytomność.

Odczekał, aż oprzytomnieją i dopiero wtedy ruszył, spychając obie ku brzegowi platformy.

Zanim ryk na trybunach oznajmił, że Beznosy dopiął swego, odwróciłem wzrok. W samą porę, by dostrzec zarys ręki zmierzającej w moją stronę. Odchyliłem się i instynktownie zasłoniłem lewą ręką. Cios, który miał spaść mi na głowę, wylądował na przedramieniu. W potłuczonym łokciu odezwał się ból, jakby ktoś przytknął tam płonącą pochodnię. Na oślep uderzyłem prawą dłonią. Pięść zagłębiła się w miękką tkankę. Nie zważając na ból w łokciu, zamachnąłem się lewą, tym razem mierząc wyżej. Cios wylądował na nosie. Zamierzyłem się ponownie, ale tym razem trafiłem w próżnię. Zaraz potem podcięty kopnięciem zwaliłem się ciężko na plecy.

Teraz go zobaczyłem: był mniej więcej mojego wieku, niewiele wyższy, ale lepiej niż ja umięśniony. Wyglądał na dobrze odżywionego. Złamany nos krwawił i zaczynał puchnąć, jednak nie zwracał na to uwagi. Oddychał szybko, łypiąc na mnie spode łba, na przemian zaciskając dłonie w pięści i rozprostowując. Splunął czerwoną od krwi śliną. Zaczął mnie okrążać, szukając najsłabszego punktu obrony. Obracałem się na plecach, żeby nie zaszedł mnie od tyłu.

W chwili gdy skoczył, zrobiłem to, co podpowiadał mi instynkt: zgiąłem kolana tak, że zablokowałem atak stopami, potem wyrzuciłem biodra w górę wyprostowując nogi i przeniosłem ciężar ciała napastnika nad sobą. Runął, aż zatrzęsła się platforma. Przeturlałem się na bok i dźwignąłem na nogi. Kątem oka dostrzegłem na najbliższym ekranie zbliżenie mojej twarzy. Byłem umazany krwią. Ale nie była to moja krew.

Na hałas za plecami odskoczyłem i obejrzałem się, gotowy do odparcia kolejnego ataku. To Beznosy rozprawiał się z moim przeciwnikiem. Trącając go nogą, nie pozwalał mu wstać. Ku aplauzowi widzów przesuwał go centymetr po centymetrze jak zrolowany dywan. Wreszcie się znudził i silnym mierzonym kopnięciem wypchnął go na zewnątrz. Widzowie nagrodzili to brawami.

Ledwo owacje ucichły, ożywił się odległy lewy sektor trybuny. Starając się nie spuszczać z oka Beznosego, jednocześnie próbowałem odkryć przyczynę ekscytacji. Iglica częściowo zasłaniała mi widok, ale kamera przekazywała obraz na wszystkie cztery ekrany. Dwóch mężczyzn mocowało się ze sobą. Sczepieni ramionami, wyglądali jak zrośnięci. Poruszali się ociężale, chwilami tylko któryś się ożywiał i próbował bez powodzenia przeciwnika obalić. Patrzyłem na to dwugłowe zwierzę o czterech nogach i czterech rękach, skupione na sobie, nieświadome, że każdy krok zbliża je ku przepaści. Dopiero spadając się rozłączyli, na ułamek sekundy powracając do ludzkich kształtów. Teraz zajęła się nimi maszyneria.

Odwróciłem wzrok od ekranu, zanim zdążył się zabarwić na czerwono. I wtedy ją zobaczyłem. Leżała plecami na ziemi, trzymając się oburącz iglicy i kopnięciami próbowała się opędzić od napastnika. Ten usiłował złapać ją za nogi i odciągnąć. Był otyły, nie pierwszej młodości, i najwyraźniej zdążył opaść z sił. Postanowił użyć podstępu. Udał, że zapuszcza się w lewo, a kiedy, tak jak się spodziewał, okręciła się w tę stronę, dał susa w prawo, zamierzając złapać ją za ręce i oderwać siłą. Musiała to przewidzieć, bo okazała się szybsza. Puściła się iglicy, zerwała się sprężyście i wbiła mu zakończone długimi paznokciami palce w oczy. Z krzykiem złapał się za twarz. Zaczęła nim obracać jak dziecinną zabawką. Wymachując rękami na oślep, nieporadnie próbował się bronić. Bez trudu uchylała się przed ciosami. Odstąpiła dwa kroki i, cofając się, prowokacyjnie go przywoływała; podążając za jej głosem, szedł, wciąż się zataczając, aż stanął tam, gdzie zamierzała go doprowadzić.

Pchnęła go niemal od niechcenia i zaraz się odwróciła. Stałem i patrzyłem, jak się zbliża, ostrożnie stawiając stopy, z głową lekko przechyloną. Drobne piersi miałem prawie na wyciągnięcie ręki. Wytarła dłonie o brzuch i na ciele zostały czerwone smugi. Pobiegłem spojrzeniem niżej. Przychwyciła mój wzrok. Zmarszczyła brwi, próbując odgadnąć, co przykuwa moją uwagę. Dotknęła się tam, potem dokładnie obejrzała dłoń. Wzruszyła ramionami. Zaciskając pięści, zaczęła mnie okrążać.

Nagle się zatrzymała. Patrzyła na to, co sterczało mi w dole brzucha, nabrzmiałe i sztywne jak kość.

Uważaj!, usłyszałem ostrzegawczy krzyk Sędziego. Za tobą!

Zapomniałem o Beznosym! Próbowałem zejść z linii ataku, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Pod czaszką czułem ucisk i rytmiczne dudnienie. A potem przestałem widzieć, jakby ktoś zawiązał mi przepaskę na oczach. Owiał mnie smród potu. Skuliłem się, ale ciosy nie spadły. Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, zobaczyłem plecy Beznosego. Dziewczyna cofała się przed nim, osłaniając się rękami. Chwycił jej dłoń w nadgarstku i ścisnął, aż syknęła. Przyciągnął ją do siebie, nachylił się, drugą ręką ucapił między udami, podniósł w górę i rozejrzał się. Od brzegu platformy dzieliło go siedem, osiem kroków.

Stój!, ryknął Sędzia.

Nie posłuchałem. Beznosy poruszał się, jakby nie dźwigał ciężaru. Rzuciłem się za nim, złapałem za nogi i pociągnąłem. Upadając, wypuścił dziewczynę. Runęła z hukiem na metalową powierzchnię i nie poruszała się. Beznosy dźwignął się nadspodziewanie szybko i skoczył na mnie, zanim zdążyłem się podnieść. Zwalił się całym ciężarem, kolanem przycisnął klatkę piersiową, że z trudem chwytałem oddech. Wielka pięść wylądowała na mojej twarzy. Zobaczyłem rozgwieżdżone niebo. Uderzył drugi raz i niebo na nowo rozjarzyło się gwiazdami. Dwa to dobra liczba, pomyślałem. Przestałem liczyć ciosy. Czułem, że w miejsce twarzy mam miazgę.

Raptem jęknął i runął na mnie jak kłoda. Wciąż jęcząc, próbował się podnieść. Wreszcie mu się udało i znowu mogłem oddychać. Tak jak leżałem na plecach, podparłem się na łokciach, podniosłem głowę i patrzyłem.

Beznosy posuwał się tyłem, a metalowa laska spadała na niego w regularnych odstępach. Nie próbował się bronić. Przy każdym ciosie Sędziego kulił się i pojękiwał. Czerwone pręgi na skórze błyskawicznie obrzmiewały. Zrobił kolejny krok. Nie napotkawszy nogą oparcia, zachwiał się, trzepocąc rękami próbował odzyskać równowagę. Wystarczyło, że Sędzia dźgnął go końcem laski w klatkę piersiową, a runął w kilkumetrową przepaść, na dnie której czekała, pracując niezmordowanie, zaprojektowana przez budowniczych maszyneria.

Sędzia stanął okrakiem nad dziewczyną i oznajmił, patrząc na mnie:

Zwyciężyłeś!

Dziewczynę chwycił za rękę i pociągnął ku krawędzi.

Puść ją, wychrypiałem.

Powoli odwrócił głowę w moją stronę.

Zostaw ją, powtórzyłem. Bo przysięgam, że zabiję!

Zatrzymał się. Patrzył na mnie bez wrogości. Zwycięzca może być tylko jeden, przypomniał. Ty albo ona. Wybieraj.

Opadłem na plecy, głośno przeklinając Sędziego. Przeklinałem Jakuba Martensa, przeklinałem Samuela Millsa, białą flagę Republiki, objawienie Trzech Praw i Rocznicę Wielkiej Zmiany.

Jak przez mgłę zobaczyłem nad sobą twarz Sędziego.

Płaczesz? Przecież zostałeś bohaterem. Będziesz gospodarzem rocznicowego przyjęcia.

Chcę do domu, powiedziałem.

Do domu?, powtórzył. A gdzie jest ten twój dom?